

Od autora: Gdyby nie pewne wydarzenie, jakie miało miejsce w maju 2015 roku, ta miniatura nigdy by nie powstała. Waldek po raz kolejny. Migawka z życia, którą chciałem utrwalić. To kontynuacja mojej króciutkiej miniatury „Waldek”, choć utwór ten sam w sobie stanowi odrębną całość. I ja miałem swój udział w tym, co tu opisałem – Waldek posłuchał mnie i dlatego to, co tu opisałem, miało miejsce. Serdecznie zapraszam do lektury, dzielenia się refleksjami, jak i do zajrzenia do „Waldka” z 2014 roku, by bliżej poznać bohatera, człowieka z krwi i kości :) Tacy ludzie rodzą się raz na tysiąc lat.

Pewnego dnia zadzwoniła do mnie żona Waldka, miała naprawdę wiele do powiedzenia, a ja akurat słodko się nudziłem, pijąc schłodzone, popołudniowe piwo, i w najlepsze słuchałem Elvisa, patrząc, jak nie-dorzeczny świat za oknem dalej pcha swój kolorowy wózek.

Była wiosna, pora beztroski i radosnego patrzenia w przyszłość.

Wolny od napięć, odebrałem telefon:

- Wiesz, co? – zagadała podekscytowana, a w jej głosie zaigrała zapowiedź tego „czegoś”.
- Nie, ale mi powiesz – odparłem na luzie.
- On nie chce się zgodzić. Uparty jak osioł. Nic do niego nie dociera. Taki zacięty nie był od chwili, kiedy starał się o moje względy, choć to niezbyt precyzyjne określenie, bo w naszym przypadku fascynacja, a potem miłość, była obopólna.
- Więc w czym rzecz, Iwonko? – zapytałem zaintrygowany.
- Ona go prosi, a on jej swoje.
- Kto prosi?
- Nasza córka. Jej na tym naprawdę bardzo zależy, a i Waldi pokazałby się od nowej strony. Taki, że tak powiem, odświeżony. Wiem, że to byłoby coś.
- Jesteś taka tajemnicza...
- Nawet kupiła mu cygara, piekielnie drogie, żeby tylko się zgodził, a on jej na to: „*Wyglądałbym jak ostatni pajac, przecież wiesz, że twój stary jest tak pokraczny jak przedpotopowy wiatrak*”.
- Intrygujesz mnie.
- Po paru dniach i ja zaczęłam go prosić, przecież to nie dzieje się często, nasze dzieci mają prawo mieć to, co sobie wymarzyły, a ja chciałam, by Waldi zrobił to dla naszej małej. To byłoby takie słodkie, takie romantyczne. Chwila zaklęta w czasie na wieki wieków.
- A on swoje, tak? – zapytałem, choć nadal nie wiedziałem, o czym rozmawiamy.
- Nawet rodzice go zagadywali, ale on ani drgnie! Jakież to przykre w kontekście tego, co niebawem się wydarzy. Może ty z nim pogadasz, Mike, co?
- Ale wciąż nie wiem, co jest grane.
- No więc... - i tu wyjawiała mi cały jakże prozaiczny sekret mojego przyjaciela.

- Waldziu, nie możesz jej tego odmówić – ciągnąłem spokojnie, by go nie spłoszyć. - To dla niej najważniejszy dzień życia. Nigdy nie będzie już tak samo, to dzieje się raz, i nie możesz zawalić, stary. Nie daj się prosić, bo posądzę cię o złą wolę lub zwyczajnego pietra, a chyba tego nie chcemy, prawda?
- Ale jak to będzie z boku wyglądało? Śmiesznie, smutno, groteskowo, żałośnie?
- Będzie wyglądało jak najlepiej. Daj jej to, a nie pożałujesz. Zawsze szedłeś za ciosem, zawsze miałeś wielkie serducho, więc i tym razem będzie jak należy. Wiem, co mówię.

- Dwudziesty trzeci maja, mały, zabytkowy kościółek, taki z duszą, wiesz? Bardzo jej na tym zależało. Wszystko załatwiliśmy. Nawet noclegi, i rano gorące śniadanie. Zaproszenia wysłane.
- Będziemy na bank. Zrobisz to dla nas? – spytałem śmiertelnie poważnie.
- Chyba przemówiłeś mi do rozsądku – rzekł, a mnie kamień spadł z serca.

Przybyła prawie setka gości: świat fantastycznie zawirował i stał się nagle kolorowy i wesoły, jakże wolny od prozaicznych trosk, puszczając do nas filuternie oczko, zdający się delikatnie szeptać, że zaraz wydarzy się coś, czego nie sposób będzie zapomnieć, co na zawsze wryje się w pamięć obrazem wyrazistym i mocnym.

Od początku zanosilo się na piękną, niezapomnianą imprezę, i taką bez wątpienia była.

Czasem bez słów czuje się, że ten dzień będzie inny od pozostałych.

I tym razem owo przeczucie nie zawiodło.

Radość chwili mieszała się z chórem wesołych, podekscytowanych głosów.

A gdzieś obok uśmiechał się życzliwie świat, który zawsze pobłogosławi miłości.

Po opuszczeniu kościoła udaliśmy się do ekskluzywnego kompleksu hotelowego za miastem, tonącego w bujnym gąszczu soczystych sosen i świerków, i tam to się stało – nieoczekiwanie, bez uprzedzenia, niczym przepiękny film puszczony w pełni zaskoczonej widowni.

Jak deszcz, co spadł nagle z nieba, jak słońce, co spłynęło nagle z chmur.

Niby zwyczajnie, niby na wskroś naturalnie, lecz ani dla Waldka, ani dla jego córki, ani dla nas obserwatorów nie było to czymś zwyczajnym, wręcz przeciwnie, ta krótką, bajkowa scenka każdemu z tych, co ją widzieli, na pewno zapadła na zawsze w pamięć, jestem tego pewien, bo wiem, jak sam to odebrałem.

I wiedziałem też, że czegoś podobnego już nigdy nie zobaczę.

Melodią tego tańca był niezapomniany przebój Toma Jonesa „*With these hands*”, romantyczny i gorący kawałek, śpiewany niegdyś przez symbol seksu lat siedemdziesiątych.

Wtedy, jakby nigdy nic, wyszli na środek sali: córka i ojciec, piękna, młoda kobieta, której świat sypał kwiaty do stóp i okrutnie okaleczony przez straszliwy wypadek weteran życia, człowiek o jasnym sercu, znajdujący Dobro nawet tam, gdzie inni go nie dostrzegają.

Ujął ją w talii zdrową ręką, jakby to robił od lat, pewnie i zdecydowanie, z niebывałym wyczuciem, i po-
dał tę plastikową.

Powoli, delikatnie zaczęli tańczyć, jakby chcąc, by te minuty nigdy nie miały końca: ona wpatrzona w jego radosne oczy roziskrzonym spojrzeniem, uśmiechnięta i szczęśliwa, on już niespięty, wyluzowany, w tej niezwykłej chwili wierzący w to, że tak właśnie miało być, bo jego mała dziś ma święto, dzień w życiu, który zdarza się raz.

Z wyczuciem, nieśpiesznie przesuwając protezę nogi i było widać jak na dłoni, że długo i starannie ćwiczyli to w domu, w niezwykłej maestrii dokładnych ruchów nie było przypadkowości, dlatego wszystko poszło jak po maśle, i co więcej, już w trakcie czulego tańca goście zaczęli żywiołowo bić brawo, jedni weseli i pełni podziwu, inni wzruszeni, z małą łezką w oku, inni najzwyczajniej zaskoczeni niecodziennym zdarzeniem, jakiego w scenerii zwykłego życia nigdy by nie zobaczyli.

A taniec trwał i trwał, rozplywając się w czasie, co na chwilę stanął w miejscu, oniemiały.

Bo są minuty szczerzłote, których nie wyrazi słowo pisane ani mówione, tylko sercem można czytać ich magię, tylko tak wejść do wymiaru, gdzie „czucie” jest królem.

Czasem czyste piękno rodzi się nagle, w najmniej oczekiwanej chwili.

I im większe zaskoczenie, tym głębiej się je przeżywa.

Waldi prowadził jak pierwszorzędny tancerz, a córka, z płomiennym uśmiechem na twarzy, poddawała mu się z zadowoleniem, czując, jak bardzo jest jej w tej sekundzie bliski, jak intensywnie przeżywa ten cudowny moment, na który próżno by szukać nazwy.

Parkiet należał do nich jak do pary artystów, wynajętych, by zatańczyli taniec życia.

By dali to, co w ruchach i uśmiechu oddaje bliskość i czułość.

By zatańczyli siebie w całej krasie tej niezapomnianej chwili.

Jestem pewien, że nikt przedtem i nikt potem już tak na nim nie tańczył.

I kiedy skończyli, jakby nigdy nic sięgnął po chusteczkę, nie bacząc, jak to zostanie odebrane: coś ścisnęło za gardło i wcale tego nie ukrywał.

Jakże męski wydał mi się w tamtej chwili w całej pięknej szczerości.

Jakże dojrzały i świadomy siebie.

Ojciec, mąż i mężczyzna.

I pomyślałem sobie, jak długą drogę przebył, by znaleźć się tu i teraz.

Spojrzał na nią rozmarzonymi oczami i powiedział:

- Dziękuję, Kasiu.

Ona zalotnie dygnęła i tak zakończył się ten niezwykle widok.

Tylko wokoło czuć było wyraźnie, że zdarzył się mały, ludzki cud.

Coś, co spłynęło na nich z krainy spełnionych marzeń.

I stali tak jeszcze przez chwilę, otoczeni falującym tłumem gości, radośnie krzyczącymi „*brawo*”: on, wysoki, przystojny, barczysty, ona, nieduża, o pięknych rysach twarzy, jasnowłosa, on bohater dnia, ona królowa balu, oboje mający swój złoty czas na wieczność, coś, co przetrwa w sercu po kres dni, choćby po drodze były srogie grudnie i ponure listopady.

Bo bezcenne minuty liczą się podwójnie i oni poczuli to tego wieczora, i wiedzieli coś jeszcze: gdyby dane im było znów razem zatańczyć, wszystko byłoby już inne.

Każdy kolejny taniec oddalałby ich od tego, jedyne.

Teraz nie śpieszyli się, trzymając się za ręce, czekali na resztę nocy, pewni, że będzie to noc ze snów, niezapomniane godziny, własne święto radości.

Posyłali uśmiechy, a my, stojący obok wiedzieliśmy, że tak właśnie wygląda szczęście, i jeśli w życiu liczą się tylko chwile, to ta taką właśnie była.

Potem zaczęło się, a Waldek ośmielony niedawnym sukcesem, tańczył w tę szaloną noc jeszcze kilka razy, z kobietami, w których wzbudził niekryty podziw, szczęśliwy i promienny, bo wiedział, że wygrał los na loterii, jakby nieznaną czarodziej dotknął go swoją magiczną różdżką, by dać do zrozumienia, że w życiu wszystko jest możliwe.

Nie wypił nawet grama wódki, twierdząc, iż upija się życiem i bujnym przepychem jego barw: „*Wieczorami pełnymi zapachu maciejki i przecudnymi świtami, gdy ptaki nucą anielskie trele, zapachem bżów i świeżo skoszonej trawy, widokiem gołębi, podchodzących do ręki, by dostać okruszek chleba oraz noc-*

nym chłodem, płynącym z krakowskiej ulicy.

Spacerem nad Wisłą, poranną kawą, pocałunkiem na dobranoc, pewnością, że jest dom.

Że ma się swoje małe miejsce na ziemi, a obok ukochaną rodzinę.

Że trzeba cieszyć się z najmniejszych rzeczy, z drobiazgów, bo to z nich składa się życie.

Z tego, że może starszą panią przeprowadzić przez jezdnię albo zdrową ręką ponieść jej zakupy, lub powiedzieć komuś w potrzebie: „Bracie, jakbyś kiedyś czegoś potrzebował, to...”

Tamtej nocy, na niezwykłym weselu, opowiadał dowcipy, niestrudzenie zabawiał gości, dla każdego znajdując chwilę, by pogadać o wszystkim i niczym – był prawdziwą duszą towarzystwa, jak zawsze, otwarty na każdego i dostrzegający w świecie tylko jego jasną stronę.

Obserwując go z boku, podziwiałem ten niezwykły wigor: mnie już mocno zakręciło się w głowie, bo przy takich okazjach za kołnierz nie wylewam, i poważnie rozmyślałem o zakończeniu imprezy, podczas gdy on uwijał się jak w ukropie, będąc wszędzie jak radosna iskra, spełniony tą magiczną chwilą, na którą musiał tak długo czekać.

Bo gdzieś, w głębi serca, w tej jego mrocznej części odpowiedzialnej za ból wspomnień, które chciałoby się na zawsze wyprzeć ze świadomości wiedział, że ten wieczór mógł się nigdy nie zdarzyć, gdyby wtedy, tam, owego fatalnego dnia, w tej przeklętej fabryce, kiedy...

Kiedy śmierć była już tak blisko.

Już pochylona, składała pocałunek na jego czole.

A kościane ramiona zapraszały do krainy umarłych.

Kiedy Janek, pijany w sztok, puścił tę betonową płytę.

Potem długi niebyt, długi powrót z zaświatów.

Ukrzyżowanie na szpitalnym łóżku w oczekiwaniu na bożą łaskę.

Na pewno przez chwilę tak pomyślał, ale znając pogodę jego ducha, był to krótki moment.

Sekundy, nic już nieznaczące sekundy.

Zderzenie światła z mrokiem.

- Wiesz, co, Mike? – zagadał gdzieś w środku zabawy, podniecony i wesoły.
- Co, Waldziu? – spytałem.
- Za jakiś czas zostanę dziadkiem. To już pewne. Mała mi powiedziała.
- Jesteś prawdziwym szczęściarzem.
- Chyba tak rzeczywiście jest – odparł, uśmiechając się pod nosem.
- *Od dobrej gorzały nie boli głowa, z dobrą kobietą nie boli życie* – zacytowałem Hłaskę.
- Żebyś wiedział. A z dwiema dobrymi kobietami to już raj, co?
- Wyjąłeś mi to ust – odparłem, patrząc w jego zwyczajne, niezwykcyjne oczy.

9 lutego 2016

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 17.02.2016 19:13

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.